## *Stół*

Był stary. Był bardzo stary. Dużo starszy od niego. Ale jemu to nie przeszkadzało. Przeciwnie – jeszcze bardziej to go do niego zbliżało. Właśnie ów wiek łączył ich w jakiś trwały i nierozerwalny, a także niejasny i niezrozumiały dla postronnych obserwatorów, związek. Związek oparty może nie tyle na miłości, co gorącym i szczerym oddaniu. Jakby osobno, jeden bez drugiego nie mógł istnieć. Jeden dla drugiego bowiem był zarówno przyjacielem, kimś niewymownie bliskim, jak i kimś jednocześnie tak odległym, nieznanym, że aż czasami musiało to zastanawiać i niepokoić, a niewykluczone, że nawet dręczyć. Było bowiem tak, że ten niemy przyjaciel, najwierniejszy z wiernych, stawał się nierzadko jakby spowiednikiem obarczanym jego oczyszczającą z brudu życia spowiedzią, mającą przynieść mu ukojenie i zapomnienie; spowiedzią, raz pełną śmiechu, innym znów razem płaczu i niekończących się skarg i żalów; to znowu radości, a kiedy indziej nienawiści i fanatycznej wręcz wrogości. Jednak zawsze w tym wszystkim obecna była bezsilność, która najpierw go przerażała, następnie obezwładniała, a na końcu paraliżowała do tego stopnia, że stawał się bezbronny jak dziecko. I wówczas, niezależnie od pory dnia, zapadała dla niego noc, a on zagłębiał się w mocny, ciężki sen, tuląc swoją zniszczoną przez lata alkoholem i nikotyną twarz do tego jedynego wiernego przyjaciela, który nigdy nie zdradził. I trwał tak w pijackim, sennym oczekiwaniu na dzień następny. Dzień, który miał być lepszy, miał dać zapomnienie; dzień, który miał zaświecić jaśniej w końcu również i dla niego. Jednak dzień ten nie nadchodził, a jego sen – ten otępiający koszmar trwał, i trwał tak, nawet po przebudzeniu, jakby nigdy nie

miał się skończyć. I miało tak już pozostać na zawsze. Do końca. Do końca dni jego.

23.12.1988 r.